

ANTONI BUGAJSKI



Był sobie piłkarz... cz. II

Gmoch • Boniek • Grembocki • Turecki • Karaś • Pałasz • Kapka • Dąbrowski • Benesz
Kwiatkowski • Zejer • Adamiec • Garłowski • Drzewiecki • Piekarczyk • Kozerski
Dziuba • Baran • Gadocha • Dybicz • Kmieciak • Janas • Majka • Olsza • Grotyński
Szpakowski • Gad • Adamczyk • Warzycha • Nawrocki • Sybis • Szewczyk • Rozborski
Górski • Szołtysik • Topolski • Szaryński • Grzegorzczak • Filipczak • Nowak

NIEZWYKŁE HISTORIE
ZAWODNIKÓW NIE TYLKO Z PIERWSZYCH STRON GAZET



**Był sobie
piłkarz... cz. II**

ANTONI BUGAJSKI

Był sobie piłkarz...
cz. II

**NIEZWYKŁE HISTORIE
ZAWODNIKÓW NIE TYLKO Z PIERWSZYCH STRON GAZET**

**BIBLIOTEKA
PRZEGLĄD
SPORTOWY**

Copyright @ Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

Projekt okładki: Cezary Piotrowski

Projekt typograficzny: Przemysław Piotrowski/przemekpiotrowski.pl

DTP: INSATSU Michał Żeleznikowicz

Redakcja: Roman Brzozowski

Korekta: Aneta Gawędzka-Paniczko, Marcelina Szewczyk

Koordinator projektu: Katarzyna Drosio

Na okładce został wykorzystany motyw graficzny z „Przeglądu Sportowego” z lat 60.

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

ul. Domaniewska 49

02-672 Warszawa

ISBN: 978-83-8250-086-8

Warszawa 2021

Spis treści

Od autora	7
1. Jacek Gmoch. Mnie kijem nie dobijesz	9
2. Józef Boniek. Boniek kontra Ameryka	19
3. Jacek Grembocki. Papież pomógł rodakowi	25
4. Andrzej Turecki. Pasiaste serce	32
5. Jan Karaś. Gdyby nie poprzeczka, byłyby rzecz wielka	38
6. Andrzej Pałasz. Te pierońskie półfinały	48
7. Zdzisław Kapka. Do utraty tchu	54
8. Władysław Dąbrowski. Kasa niczyja	61
9. Adam Benesz. Kto główkuje, ten żyje	67
10. Józef Kwiatkowski. Mleko się wylało	73
11. Adam Zejer. Flacha za białego	80
12. Józef Adamiec. Zagadka z brodą	86
13. Zygmunt Garłowski. Brat	92
14. Piotr Drzewiecki. Całe życie ino Ruch	99
15. Piotr Piekarczyk. Kara boska za głupotę	106
16. Marian Kozerski. Pierwszy strzelec u Górskiego	113
17. Marek Dziuba. Osobiste porachunki z imperium	120
18. Stanisław Baran. Rycerz na wojnę i pokój	129
19. Robert Gadocha. Za garść dolarów	137

20. Andrzej Dybicz. Dyplom nad łóżkiem	147
21. Kazimierz Kmiecik. Wyrzut sumienia	153
22. Paweł Janas. Człowiek, który zamknął stadion	159
23. Marek Majka. Löw musiał odejść	166
24. Lechosław Olsza. Pan piłkarz się bawił	173
25. Władysław Grotyński. Między boiskiem a więzieniem	180
26. Ryszard Szpakowski. Drugi Diabeł	186
27. Hubert Gad. Skok na głęboką wodę	193
28. Krzysztof Adamczyk. Wyrostek, auto i dziewczyna	200
29. Krzysztof Warzycha. Aktor pierwszego planu	207
30. Janusz Nawrocki. Żelazne płuca	213
31. Janusz Sybis. Pieśń o małym rycerzu	219
32. Roman Szewczyk. Norweg w końcu przeprosił	225
33. Zdzisław Rozborski. Rachunek płacił przeciwnik	231
34. Kazimierz Górski. Od Sarenki do Orła	237
35. Zygfryd Szołtysik. Zryw do bohaterstwa	243
36. Adam Topolski. Trzęsienie ziemi	249
37. Władysław Szaryński. Przez łyż do finału	255
38. Ryszard Grzegorzczak. W Parku Księżąt jak w domu	262
39. Marek Filipczak. Huśtawka z Anfield	268
40. Tadeusz Nowak. Do ostatniej kropli potu	275
Bibliografia	285

Od autora

Oto druga część niezwykłych historii o piłkarzach „nie tylko z pierwszych stron gazet”. Powrót był oczywisty, jak oczywista jest druga część meczu po pierwszej połowie. Teraz już wiem, że zanurzenie się w fascynujących biografiach czterdziestu ludzi, których przygody stworzyły pierwszą część, musiało zainspirować do kontynuacji. Nie zmienia się liczba rozdziałów, ale zmieniają się bohaterowie – to czterdziestu kolejnych, wyjątkowych polskich piłkarzy z mniej i bardziej odległej przeszłości.

Tak jak w przypadku pierwszej części pierwotnym pomysłem był realizowany na łamach „Przeglądu Sportowego” cotygodniowy cykl „Był sobie piłkarz”, który posłużył również za tytuł książki. Kryterium doboru bohaterów poszczególnych rozdziałów pozostaje dość swobodne. Najważniejsze założenie – każda historia musi być intrygująca. Dlatego czasem jest to opowieść o mistrzu olimpijskim albo o medalistrze mundialu, lecz w wielu innych przypadkach przyglądam się piłkarzom drugoplanowym. Tyle że oni też mieli swoje pięć minut, byli na ustach kibiców, zakosztowali przynajmniej namiastki popularności albo nawet sławy.

Te piękne momenty niekiedy kontrastowały z późniejszymi wydarzeniami z ich sportowego życia. Kontuzje, złe decyzje, błędy, zakaz zagranicznego transferu, nieumiejętność przepychania się łokciami w świecie mediów, trudny do zrozumienia pech – wszystko mogło skutecznie hamować rozwój wielu optymistycznie zapowiadających się piłkarskich karier. Również tych przedstawianych w książce, choć zdają sobie sprawę, że szukanie winowajców wyłącznie poza sobą bywa wygodnym alibi dla własnych, w gruncie rzeczy trudnych do usprawiedliwienia słabości.

Mocno zabiegałem, aby były to historie piłkarzy przez nich opowiedziane i zinterpretowane. Po wielu latach od zakończenia kariery oddawałem im głos właśnie po to, żeby przedstawiali swoje „wersje zdarzeń”. Liczyłem na ich szczerość, ale oczywiście uwzględniałem też, że mogą i nawet muszą być w swoich narracjach subiektywni.

Podobnie jak w pierwszej części nie chodziło mi o rozbudowane historie, zresztą każdy bohater zasługuje wręcz na osobne wydawnictwo. Liczy się dynamika skondensowanego przekazu i różnorodność, dzięki czemu czytelnik w dogodnym dla siebie czasie może choćby na chwilę zatopić się w lekturze i potem wiele razy wracać do kolejnych rozdziałów. Przy okazji może porównywać i konfrontować poszczególne postaci, tym bardziej że te same wątki i fakty bywają ważne nawet dla kilku bohaterów. Nic dziwnego, że są relacjonowane z różnej perspektywy.

Jestem bardzo wdzięczny rozmówcom, że poświęcili mi czas, że wracali do dawnych wspomnień i próbowali je odświeżyć oraz na nowo ocenić z perspektywy upływających dekad. W przypadku piłkarzy, którzy już nie żyją, w tworzeniu tekstów jak zwykle mogłem liczyć na pomoc ich dawnych kolegów, piłkarzy, trenerów, działaczy, historyków sportu i dziennikarzy, za co również im wszystkim serdecznie dziękuję. Dla mnie, fana polskiej piłki, była to niezwykła przygoda. Podobnych przeżyć życzę wszystkim czytelnikom, którzy teraz sięgają po tę książkę.

1

Jacek Gmoch

Mnie kijem nie dobijesz

Zrobiłem wślizg Joachimowi Marksowi, a bramkarz Marian Szeja biodrami spadł mi na wyprostowaną nogę poniżej kolana. Straszne, ale takie rzeczy się zdarzają. Próg bólowy zawsze miałem bardzo wysoki, trzeba mnie żelazem rąbnąć, żebym poczuł. Ale wtedy właśnie tak poczułem – mówi Jacek Gmoch. Zanim został cenionym trenerem, był równie dobrym piłkarzem, którego karierę gwałtownie zakończyła kontuzja.

Dramat, który piłkarskie życie Gmocha wywrócił do góry nogami, wydarzył się 21 sierpnia 1968 roku na stadionie Legii Warszawa.

– Nie mam żalu do Mariana Szei. Bardzo fajny chłopak. Przyjechał na mecz z Wałbrzycha, na trybunach prawie 30 tysięcy ludzi, bardzo chciał się pokazać, ambitnie podszedł do sprawy – zapewnia późniejszy selekcjoner reprezentacji, a wtedy ważny obrońca Biało-Czerwonych.

– Ten mecz miał całkiem niezdrową otoczkę. Z jednej strony reprezentacja Polski, a z drugiej drużyna „Expressu

Wieczornego”, czyli wytypowana niby przez kibiców. Mówię „niby”, bo całą imprezę rozkręcili zbratani z komunistyczną władzą dziennikarze i nic dobrego nie mogło z tego wyjść. W zespole „Expressu” (prowadzonym wówczas przez Teodora Wieczorka, a nie jak podają różne źródła Kazimierza Górskiego – przyp. red.) znaleźli się piłkarze niepowołani do kadry, a emocje były rozgrzane w tak niesamowity sposób, że rzucili się na nas, jakby walczyli o mistrzostwo świata. Wygrali 5:1, ale ja tego nie widziałem, bo na początku meczu doznałem okropnej kontuzji – zwraca uwagę Gmoch.

BOISKO BUJAŁO

Po niefortunnym starciu z Szeją w pierwszych chwilach trudno było mu złapać kontakt z rzeczywistością, ból tłumił racjonalne myślenie. – Leżałem na murawie i byłem pewien, że nastąpiło jakieś trzęsienie ziemi. Całym boiskiem bujało, łącznie ze stadionowym zegarem, bo w tamtym kierunku patrzyłem. Pogrucho-tana kość, skomplikowane i długie leczenie. O piłkarskiej karierze mogłem już zapomnieć – przyznaje.

Doskonale zdaje sobie sprawę, że po tym meczu parę ważnych wydarzeń z pewnością go ominęło. – W 1970 roku Legia bardzo daleko zaszła w Pucharze Mistrzów, walczyła z Feyenoordem Rotterdam o finał, to wszystko oczywiście już beze mnie. Mistrzem Polski za sezon 1968/69 jednak zostałem, bo przed tą nieszczęsną kontuzją zdążyłem zagrać w lidze dwa mecze. Nagle granie się urwało, ale wiedziałem, na co się piszę jako sportowiec. Decydując się na grę w piłkę, znałem ryzyko. Potem spełniłem się w roli trenera, dlatego nie mam prawa narzekać na los – zapewnia.

NA MAJÓWKĘ PRZED DEBIUTEM

W Legii – w ligowym meczu – Jacek Gmoch zadebiutował w maju 1960 roku. Ten moment wrył mu się w pamięć i nie dziwnego, bo jest o czym opowiadać. – Mieliśmy grupę przyjaciół na pierwszym roku na Politechnice Warszawskiej: ja oraz jeszcze dwóch Jacków i dwóch Maćków. Jeden z nich, Maciek Komorowski – chłopak z rodziny przedwojennej inteligencji i świetny organizator – wymyślił, że skoro jest maj, to warto wybrać się rowerami za miasto na majówkę z dziewczynami, naszymi koleżankami, aż za Piaseczno. Tyle że tego samego dnia miałem trening w Legii na Stadionie Dziesięciolecia, bo nazajutrz byłem przewidziany do gry w wyjściowym składzie, pierwszy raz w życiu w pierwszej lidze, ze Stalą Sosnowiec. Wiedziałem, że tak się może stać, bo wcześniej w sparingu z Zwickau wszedłem jako zmiennik, strzeliłem gola, wygraliśmy 2:1. Zdałem piłkarski egzamin i byłem gotowy na ligowy debiut – podkreśla.

No, ale najpierw jeszcze trening, a przed treningiem te przekłete rowery...

– Pojechaliśmy, fajnie było. Znajomy miał drewnianą chatkę, majówka pierwsza klasa. Musiałem jednak pedałować 20 kilometrów w jedną stronę, a potem w drugą. Sympatycznie się jechało w wesołej grupie, lecz z powrotem musiałem samotnie zasuwać, żeby zdążyć na ten trening. Zdążyłem, ale już wtedy podejrzewałem, że coś jest nie tak. Inne mięśnie pracują podczas zajęć piłkarskich, inne podczas rowerowej wyprawy. Nogi zaczęły mi trochę sztywnieć – wspomina.

Następnego dnia zaczął się mecz, a debiutant czuł się jeszcze gorzej. Ledwo powłóczył nogami, nie było mowy o normalnym graniu. – Wyobrażam sobie, jak to wyglądało z trybun: kompromitacja kompletna. Trener Górski wykopał mnie z boiska już po pierwszej połowie i wcale mu się nie dziwię. Zanim

cokolwiek się zaczęło, straciłem miejsce w składzie. Potem grałem ławkę – opowiada.

RADIO W NAGRODĘ

Wrócił na końcówkę sezonu i pięknie się zrehabilitował za ten dziwny debiut. – Graliśmy w Bytomiu z Polonią. Jeszcze były szanse na mistrzostwo Polski, lecz przede wszystkim musieliśmy zwyciężyć. Było 4:1, strzeliłem wtedy dwa gole. Do tytułu nie wystarczyło, bo prowadzący w tabeli Ruch Chorzów nie potknął się, pokonał Wisłę Kraków. A po pierwszej połowie byliśmy mistrzem, bo Ruch przegrywał... W każdym razie mocno pomogłem drużynie w ważnym momencie, no i przynajmniej obroniliśmy tytuł wicemistrzowski, ponieważ w razie porażki przeskoczyłby nas Górnik Zabrze. W nagrodę dostaliśmy małe radioodbiorniki Eltra, wówczas prawdziwy hit na rynku – zaznacza z dumą.

W tamtym czasie grał jeszcze jako środkowy napastnik, choć przecież w Polsce piłkarską markę wyrobił sobie jako bardzo solidny i potrafiący inicjować akcje ofensywne obrońca.

GÓRSKI BYŁ DRUŻBĄ

– W 1960 roku pojechaliliśmy na tournée do Belgii i strzeliłem tam najwięcej goli. Z Gandawą wygraliśmy 2:1, po moich trafieniach. Ze Standardem Liège było 2:2 i jedna bramka znowu moja. Podczas tej wyprawy miałem w sumie pięć goli. Na ostatniej stronie „Expressu Wieczornego” dali tytuł „Bombardier trzymany pod korcem”. To o mnie. Szybko okazało się, że w Legii mogę grać właściwie na każdej pozycji – twierdzi. Według niego nie chodziło o to, że był niespotykane uniwersalnym piłkarzem, ale o... sytuację trenera Górskiego.

– W klubie trener nie został dobrze przyjęty przez starszych zawodników. Proszę pamiętać, że Legia w połowie lat 50. miała kilkunastu reprezentantów Polski, zdobywała mistrzowskie tytuły, ale bazowała na zawodnikach sprowadzanych z kraju w ramach powołań do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Oczywiście najwięcej było ich z Górnego Śląska. Wielu „napływowych” piłkarzy nie do końca akceptowało pana Kazimierza, chociaż nie wiem dlaczego. Ja z kolei miałem z nim bardzo dobre relacje. Moja mama przyjaźniła się z panią Marią, żoną trenera. Mieszkaliśmy później w bloku przy Świętokrzyskiej, po sąsiedzku z Górkami. Ich syn Darek dorastał razem z moim Pawłem. Kazimierz Górski był nawet drużbą na moim ślubie – zwraca uwagę bohater naszej opowieści.

PIĘKA ZBYT POSPOLITA

Kiedy Górski był trenerem Legii, wchodzącego do składu Gmocha traktował jak swojego człowieka i wykorzystywał w dyscyplinowaniu piłkarzy. – Gdy podskoczył Horst Mahseli, to grałem za niego na prawej obronie, a jak coś nie podobało się Marcelemu Strzykalskiemu, to w pomocy. I tak dalej. Oczywiście pan Kazimierz wykorzystywał mnie w dobrej wierze, ale skutek tego był taki, że skonfrontował mnie z całą drużyną. Dałem sobie jednak radę, twardy byłem. Bić się w razie czego też umiałem – uśmiecha się Gmoch.

Właśnie ta wymiennosc pozycji – jak sam się domyśla – spowodowała, że stał się boiskowym omnibusem.

– Oczywiście musiałem mieć odpowiednie predyspozycje. Byłem bardzo sprawny fizycznie, w młodości przede wszystkim zajmowałem się koszykówką. Ojciec – choć sam był piłkarzem Znicza Pruszków – zabronił mi i bratu grania w piłkę, uznając, że to zbyt pospolita dyscyplina. Że to całe piłkarskie towarzystwo

jest nie dla nas, a koszykówka to co innego. Z moim starszym o sześć lat bratem zajmowaliśmy się więc koszykówką. W piłkę grałem głównie w „Sokole”, czyli w parku w Pruszkowie. Dzieciakiem jeszcze byłem, ale starsi brali takiego małego gnojka do drużyny, bo wiedzieli, że i tak jestem od wszystkich lepszy. I dzięki tej koszykówce przewyższałem każdego również ogólną sprawnością – argumentuje.

LISTA SKALPÓW

Gmoch trafił w końcu na stałe do formacji obronnej, lecz nie pamięta, kiedy dokładnie... Z pewnością było to za trenera Jaroslava Vejvody. – Dlaczego obrona? Bo miałem bardzo dobre długie podanie na skrzydło, rozpoczynające kontratak. Na jednym skrzydle grał wtedy Janusz Żmijewski, na drugim Robert Gadocha i grzechem byłoby tego nie wykorzystać – podkreśla.

Zaczął się też specjalizować w indywidualnym kryciu najgroźniejszych rywali, także w meczach reprezentacji, w której pierwszy raz zagrał w 1962 roku, jednak podstawowym zawodnikiem został trzy lata później.

– Byłem piłkarzem do specjalnych poruczeń. Nieźle sobie z tymi asami radziłem. Z czystym sumieniem mam się czym pochwalić – zapewnia. I wlicza swoje „skalpy”... – W 1965 roku skutecznie zaopiekowałem się gwiazdą Manchesteru United Denisem Lawem w wygranym 2:1 w Glasgow meczu ze Szkocją w kwalifikacjach do mistrzostw świata. Kryłem też Óscara Masa w meczu z Argentyną (1:1) w Buenos Aires. Tydzień przed mistrzostwami świata w 1966 roku w starciu z Anglią na Stadionie Śląskim (0:1) odpowiadałem za Bobby’ego Charltona i też dobrze mi to wyszło. Troskliwie zająłem się Sandro Mazzolą w meczu z Włochami (0:0) na Stadionie Dziesięciolecia

w eliminacjach MŚ 1966. Pierwsze 10–20 minut jeszcze próbował czarować, ale potem twardo usiadłem mu na karku i już nic nie mógł zrobić – przekonuje.

MIĘDZY NAMI SŁUPKAMI

W rewanżu z Włochami Polacy przegrali w Rzymie aż 1:6. Gmoch w tym fatalnym spotkaniu również uczestniczył.

– Nie chcę szukać usprawiedliwień, lecz czuliśmy się tam jakoś dziwnie. Coś podane do zjedzenia ewidentnie nam zaszkodziło, ale dajmy spokój, nie rozgrzebujemy już tej sprawy. W każdym razie podczas rozgrzewki nogi zamiast nas nosić, były jak z ołowiu – opowiada dawny reprezentacyjny obrońca.

Jakby tego było mało, pojawił się też problem z bramkarzem. Początkowo trener Ryszard Koncewicz zamierzał postawić na wspomnianego już Mariana Szeję, który jednak w reprezentacji zagrał wcześniej tylko w gładko wygranym meczu z Finlandią (7:0).

– Dzień przed starciem z Italią mieliśmy trening strzelecki. Marian wszystko łapał! Nawet z pięciu metrów, reagował fantastycznie. Jasio Liberda już się wkurzał, że nic nie wchodzi. Zniecierpliwiony zrobił dynamiczny zamach i... położył Szeję, po czym spokojnie posłał piłkę do siatki. To przeważyło. Koncewicz przestraszył się, że świetnie wyszkoleni technicznie Włosi będą stosować takie same sztuczki jak Liberda i w ostatniej chwili uznał, że postawi w bramce debutanta Henryka Stroniarza z Wisły Kraków. Nie dlatego jednak skończyło się pogromem. Jestem przekonany, że zdecydowało to dziwne samopoczucie nas wszystkich w trakcie spotkania. Robiliśmy za słupki ustawiane podczas treningu, a Włosi urządzali sobie między nami zawody slalomowe – samokrytycznie przyznaje Gmoch.

SZPIEG W ANGLII

Na szczęście były też takie mecze jak z Anglią w styczniu 1966 roku. Polacy zremisowali w Liverpoolu 1:1, a gospodarze sześć miesięcy później zostali mistrzami świata.

– W tamtych czasach Anglia była dla nas nieosiągalna, tak ją odbieraliśmy. Dopiero gdy już zostałem trenerem, to postrzeganie się zmieniło, myślę, że z moim skromnym udziałem – podkreśla. I wyjaśnia, w czym rzecz: – BBC wybierało wówczas najlepsze momenty z 11 meczów ligi angielskiej i przekazywało je – za zgodą na emisję w telewizji – do innych krajów. Był to jednak ekstrakt oszałamiający! Po obejrzeniu czegoś takiego łatwo się nabawić piłkarskich kompleksów. Anglicy jawili się jako mistrzowie nie z tej ziemi. Będąc trenerem, zmieniłem to myślenie. Przez pół roku jeździłem do Anglii. Współpracowałem też z angielskim „szpiegiem”, który z jakichś powodów nie lubił swoich rodaków. Miałem dostęp do materiałów, które dokumentowały różne mecze i zagramia, w których Anglicy już nie byli na boisku tacy fenomenalni. Dysponując cennymi materiałami, udało mi się przekonać naszych piłkarzy, że przeciwnicy naprawdę są do ugryzienia i jestem pewien, że w 1973 roku to również miało wpływ na nasze zwycięstwo w Chorzowie i remis na Wembley – zapewnia.

FACECI W RAJTUZACH

Gmoch dużo opowiada o reprezentacji, a przecież w pamięci ma wiele meczów w barwach Legii, bynajmniej nie tylko z debiutanckiego sezonu. Nigdy nie zapomni choćby starcia z Galatasaray Stambuł o ćwierćfinał Pucharu Zdobywców Pucharów w 1964 roku.

– W Warszawie wygraliśmy 2:1, w 69. minucie trafiałem do siatki i znowu poczułem się jak snajper. W rewanżu przegraliśmy

0:1, ale atmosfera w Turcji była niesamowita. Kibice już dwa dni wcześniej rozbijali namioty wokół stadionu i czekali na mecz. Żaden piłkarz z przyjezdnej drużyny nie miał prawa czuć się tam komfortowo. O awansie decydowała trzecia konfrontacja, na neutralnym terenie. Było 1:0 dla nas, załatwił ich Heniu Apostel – podkreśla.

O półfinał Legia walczyła z TSV 1860 Monachium. Najpierw grała u siebie. – Na początku marca chwycił mocny mróz. Mura wa nie nadawała się do gry, a wojsko nie było w stanie jej przygotować. Najgorzej, że nie posiadaliśmy odpowiedniego obuwia na zmarzniętą skorupę. Niemcy raz, że mieli już wymienne korki, to jeszcze na ten siarczasty mróz przezornie założyli rajtuzy, które trzymały ciepło. A my wyszliśmy na nich w tych delikatnych bucikach, z tymi gołymi nóżkami jak do kąpieli. Ślizgałiśmy się, a nie graliśmy w piłkę. Przegraliśmy 0:4. Potem w Monachium było 0:0, ale wobec strat z Warszawy już nic nie dało się zrobić – opowiada.

EKRAN Z BRATKIEM

Warto też przypomnieć, że przez wiele lat – jako piłkarz, a później jeszcze jako trener – Gmoch występował w popularnym telewizyjnym programie dla dzieci i młodzieży. Wszystko zaczęło się od wywiadu w „Sztandarze Młodych”, który przeprowadził redaktor Tadeusz Olszański.

– Była taka moda, aby pokazywać, że piłkarze są nie tylko od grania, brania pieniędzy i popijania w wolnym czasie, ale że na przykład są też studentami i kształcą się nawet na trudnych kierunkach. Wymyślono, że takimi eksponowanymi postaciami będą bramkarz Górnika Zabrze Hubert Kostka, no i ja, bo obaj wybraliśmy zupełnie nietypowe dla piłkarzy studia na prestiżowych uczelniach technicznych. Redaktor Olszański odwiedził mnie

i małżonkę w domu, ten materiał wykraczał zdecydowanie poza piłkę. Tak się zaczęła moja obecność w mediach. A potem Maciej Zimiński, prowadzący popularny program „Ekran z bratkiem”, zapytał Olszańskiego, czy zna jakiegoś niezłego piłkarza, który dobrze mówi po polsku. Nie było w tym złośliwości, bo w tamtym czasie wielu czołowych futbolistów pochodziło z Górnego Śląska i w ich mowie oczywiście było to wyczuwalne – wyjaśnia Gmoch.

Program kręcono na żywo z Pałacu Kultury i Nauki. Był to rodzaj szkółki piłkarskiej dla młodych widzów.

– Demonstrowałem różne zagrania, sztuczki techniczne, żonglerki głową, nogami. A skoro na żywo, to lekka presja była. Piękne przeżycie. Przez kilkanaście lat miałem w telewizji sześć minut w każdy czwartek! – uświadamia nam Gmoch.

Ale to przecież nie „Ekran z bratkiem” sprawił, że stał się bardzo ważną postacią w historii nie tylko polskiego futbolu. I warto wiedzieć, że zanim został cenionym trenerem w Grecji, zanim samodzielnie poprowadził kadrę narodową i trafił do legendarnego sztabu Kazimierza Górskiego, sam był bardzo dobrym piłkarzem – czołowym ligowcem i ważnym reprezentantem kraju.

BIOGRAM

Urodzony: 13 stycznia 1939 roku w Pruszkowie

Pozycja na boisku: obrońca

Reprezentacja Polski: 29 meczów, 0 goli

Kluby: *Znicz Pruszków (do 1960), Legia Warszawa (1962–68; 190 meczów, 11 goli)**

Mistrz Polski (1969), zdobywca Pucharu Polski (1964, 1966)

* uwzględnione są mecze i gole tylko w najwyższej klasie rozgrywkowej w danym kraju

2

Józef Boniek

Boniek kontra Ameryka

„Towarzyszu generale, chyba nie chcecie mi powiedzieć, że jeśli Amerykanie napadną na Polskę, to brak żołnierza Bońka Józefa sprawi, że my tę wojnę przegramy?”. „Ależ towarzyszu sekretarzu, na pewno wygramy!”. Na szczęście do agresji amerykańskiej nie doszło, a dzielny żołnierz Józef Boniek, który przy okazji nieźle grał w piłkę, mógł zmienić wojskowego Zawiszę na milicyjną Polonię Bydgoszcz.

Na piłkarskiej emeryturze nie wypinał piersi do piłkarskich orderów, bo wiedział, że gwiazdą futbolu to był jego syn Zbigniew. Ale Józef Boniek też miał talent do piłki i oddanych kibiców. Jak bardzo ceniono jego boiskowe umiejętności, najlepiej obrazuje anegdota, którą opowiedział mi Sławomir Wojciechowski, z zawodu nauczyciel, a z zamiłowania badacz historii Polonii Bydgoszcz. On z kolei usłyszał ją kiedyś od głównego bohatera tego rozdziału.

Schyłek 1958 roku. 27-letni Boniek od sześciu lat grał w bydgoskim Zawiszy, lecz co najwyżej w drugiej lidze. Do wojskowego klubu trafił jako żołnierz zasadniczej służby. Był już praktycznie nie do ruszenia, bo Zawisza mógł skutecznie odsyłać z kwitkiem każdego, kto czynił zakusy na wartościowego środkowego obrońcę. Miało to jednak istotny skutek uboczny: blokowało rozwój piłkarza. W końcu chodziło tylko o zaplecze ekstraklasy...

W Bydgoszczy w najwyższej klasie rozgrywkowej funkcjonowała Polonia, powiązana z resortem spraw wewnętrznych. Bardzo chciała mieć u siebie defensora Zawiszy. Tylko jak go wyciągnąć, jeśli wojskowy klub na uparcie stawiane pytanie odpowiadał równie stanowczym „nie”? Armia się zawzięła, ale milicja nie odpuszczała.

Nie było rady: milicja poprosiła o wsparcie partię. Do dowódcy Pomorskiego Okręgu Wojskowego zadzwonił pierwszy sekretarz z Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i nie bawił się w gadki szmatki:

– „Towarzyszu generale, chyba nie chcecie mi powiedzieć, że jeśli Amerykanie napadną na Polskę, to brak żołnierza Bońka Józefa sprawi, że my tę wojnę przegramy?”

– „Ależ towarzyszu sekretarzu, na pewno wygramy!”

– „No to proszę was, jak dobrego obywatela, niech Zawisza nie blokuje przejścia piłkarza Bońka do najlepszego klubu w naszym mieście”.

Szach i mat! Józef Boniek dostał wreszcie zgodę na zmianę klubu.

– To było zwieńczenie długich starań Polonii o Bońka, który w jej barwach zagrał już rok wcześniej w towarzyskim meczu ze Spartą Rotterdam. Przymiarka wypadła znakomicie i od tego czasu było jasne, że Polonia w zabiegach o ściągnięcie obrońcy nie ustanie – opowiada Wojciechowski.

GETRY NA DRUTACH

– Cała nasza rodzina pochodzi z Nakła nad Notecią. Wujek Józef w piłkę zaczynał grać oczywiście w Czarnych Nakło – zaznacza Józef Piechota. Jego ojciec oraz Jadwiga, żona Józefa Bońka, byli rodzeństwem.

Piechota później też był piłkarzem Czarnych, zresztą w drużynie prowadzonej przez wujka, a następnie sędzią piłkarskim.

– Zaraz po wojnie w piłkarskich klubach było biednie i ciężko, brakowało podstawowego sprzętu. Pamiętam opowieści cioci Jadwigi, jak piłkarzom Czarnych robiła getry na drutach – opowiada kuzyn Zbigniewa Bońka.

– Wujek Józef jak trafił do Zawiszy, zamieszkał na Osiedlu Leśnym. Po przenosinach do Polonii dostał większe mieszkanie. Kiedy już zacząłem pracować w Zakładach Rowerowych w Bydgoszczy, chętnie odwiedzałem rodzinę. Nadal mieszkalem w Nakle, ale często nocowałem u Bońków przy Sułkowskiego. W ogóle ja z moimi kuzynami, Romkiem i Zbyszkim, w zasadzie się wychowywałem – mówi Piechota, który obecnie działa w Kujawsko-Pomorskim Związku Piłki Nożnej i jest przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego.

W Zawiszy (przez pewien czas działał pod nazwą OWKS i CWKS) Boniek trafił na zły okres. Akurat zaczęło się marginalizowanie działalności wojskowych klubów; z wyjątkiem CWKS Warszawa, czyli Legii. W 1954 roku Zawisza mógł uczestniczyć jedynie w żołnierskich rozgrywkach. Zdobył zresztą mistrzostwo Ludowego Wojska Polskiego. Potem bydgoszczanie zostali przywróceni do centralnych rozgrywek, lecz pierwszy raz w ekstraklasie zagraли dopiero w 1961 roku.

Polonia wyciągnęła Bońka z Zawiszy wcześniej, dzięki czemu wystąpił w elicie jeszcze przed trzydziestką. W tamtych czasach był to już zwykle schyłek kariery.

Zadebiutował 15 marca 1959 roku, trzy dni po 28. urodzinach. Polonia na swoim stadionie w obecności 12 tysięcy widzów pokonała Wisłę Kraków 1:0 po голу Mariana Stachowicza. Boniek zagrał na środku obrony i poradził sobie bardzo dobrze. Szybko stał się jednym z najważniejszych piłkarzy w drużynie. W ekstraklasie występował przez trzy sezony.

W PIŁKĘ Z NORKOWSKIM

– Bywałem na każdym meczu Polonii. Siedziałem na trybunie, która istnieje do dzisiaj, z cicią, czyli mamą Zbyszka. Ale nie tylko z nią, bo także z żonami innych piłkarzy Polonii. Niesamowite były z nich kibicki. Wokół zawsze zostawały puste miejsca, bo inni woleli trzymać się z dala od żywo dopingujących pań. Były śpiewy, nawoływania, zagrzewające do gry okrzyki, pretensje do sędziego... Czasami w ruch szły parasolki. Oglądanie meczu w takim towarzystwie zamieniało się w rytuał. Pani Cirkowska, pielęgniarzka i żona piłkarza Mariana Cirkowskiego, przed każdym spotkaniem miała naszykowane drobniaki i zakopywała je w pobliskiej piaskownicy. Na dobrą wróżbę, żeby nasi wygrali – opowiada Piechota.

W grupie najzagorzalszych kibiców pojawiały się też dzieci państwa Bońków: paroletni Zbigniew i dwa lata starszy Roman.

– Zbyszek nieraz opowiadał, że bywał na meczach ojca i to oczywiście prawda. W 1960 roku, czyli jako czterolatek, był na zgrupowaniu Polonii w nadmorskim Kamiennym Potoku, na które z zawodnikami pojechały też rodziny. Żartujemy, że choć Zbyszek jest wychowankiem Zawiszy, na pierwszy obóz pojechał z Polonią – śmieje się Wojciechowski.

Największą gwiazdą klubu był oczywiście snajper Marian Norowski, który wówczas przygotowywał się do wyjazdu z reprezentacją Polski na igrzyska olimpijskie w Rzymie (1960).

– Wdowa po Norkowskim mówiła mi, że właśnie na tym zgrupowaniu mały Zbyszek chodził za jej mężem z piłką pod pachą i uparcie prosił: „Panie Marianie, pokopie pan ze mną piłkę? Ale ja pana bardzo proszę, tylko chwilę! To co, pokopie pan ze mną piłkę?”. Trzeba przyznać, że już wtedy uczył się od najlepszych – zauważa kronikarz Polonii.

NASTĘPCA Z BYTOMIA

Polonia z ekstraklasy spadła w 1961 roku. To był czarny sezon dla bydgoskiego futbolu, bo drugim spadkowiczem był Zawisza. Józef Boniek piłkarskie buty na kołku zawiesił trzy lata później. Z klubem rozstał się elegancko. Zawczasu lojalnie informował, by klub szukał nowego stopera. Wybór padł na Jana Leszczyńskiego, który w 1963 roku zdobył z Polonią Bytom mistrzostwo Polski juniorów. Grający w ekstraklasie bytomianie mieli wtedy mocny skład. Leszczyński nie liczył, że się do niego przebiję.

– Szykował się transfer do Wisłoki Dębica. Już nawet zamieszkał tam w hotelu robotniczym, ale nie był zadowolony. Wysłał list do Polonii Bydgoszcz, że jednak woli grać dla niej. To wystarczyło. Reszta odbyła się po linii milicyjnej. Na komendę w Dębicy przyszedł nakaz, aby funkcjonariusze sprowadzili obywatela Leszczyńskiego do Bydgoszczy. W Wisłoce nie mieli nic do gadania – opowiada Wojciechowski. Jesienią 1964 roku Leszczyński zdążył jeszcze zagrać w jednej drużynie z Bońkiem. Pokoleniowa zmiana nastąpiła bardzo płynnie.

LUBIŁ SPOKÓJ

Józef Boniek pracował później jako trener w mniejszych klubach, jednak dalej kibicował Polonii, także tej żużlowej

i hokejowej. No i z rosnącym zainteresowaniem przyglądał się piłkarskim postępom młodszego syna. – Dobrze wiedział, że Zbychu ma ogromny talent, ale niczego mu nie ułatwiał. Oceniał go jak ojciec, ale też jako bardzo wymagający trener – mówi Piechota.

Z coraz większych sukcesów przysłego medalisty mistrzostw świata i zdobywcy Pucharu Mistrzów ojciec był oczywiście dumny. – Gdy we wrześniu 1983 roku reporter gdańskiej telewizji zapytał go, komu będzie kibicował w pucharowym meczu Lechii Gdańsk z Juventusem Turyn, odpowiedział, że tej drużynie, w której gra jego syn – zwraca uwagę Piechota, świetnie orientujący się w historii bydgoskiego futbolu.

Szanowany obrońca Zawiszy i Polonii zmarł w wieku 88 lat.

– Miałem z nim kontakt w zasadzie do ostatnich chwil życia. Nigdy nie pchał się do pierwszego szeregu, lubił spokój. To był bardzo dobry i mądry człowiek – mówi o wujku.

– Nie mam wątpliwości, że pan Józef unikał publicznych wypowiedzi – zapewnia Wojciechowski. – Zupełnie nie zależało mu, by wszyscy powtarzali, że to przecież ojciec Zbigniewa Bońka. A chyba mu to nawet przeszkadzało. W najmniejszym stopniu nie próbował korzystać ze sławy i pozycji, na jaką zapracował jego syn. A my, kibice w Bydgoszczy, i tak dobrze wiemy, że Józef Bońkiewicz jako piłkarz napisał swoją piękną piłkarską historię.

BIOGRAM

Urodzony: 12 marca 1931 roku w Nakle nad Notecią

Zmarł: 12 grudnia 2019 roku w Bydgoszczy

Pozycja na boisku: obrońca

Kluby: *Czarni/Stal Nakło nad Notecią (do 1952), OWKS/CWKS Zawisza Bydgoszcz (1952–58), Polonia Bydgoszcz (1959–64; 60 meczów, 0 goli)**

* uwzględnione są mecze i gole tylko w najwyższej klasie rozgrywkowej w danym kraju